# Dies irae — dr_brunet

Najbardziej ukochałem jesień. Zapachem palonych liści, którego swądem nazwać się nie godziło, niczym kadzidlana chmura chroniącym babciną ulicę przed gromowładami smutnego śródmiejskiego gmachu – bolszewickiego gniazda – mocą swą zawiadującego całym światem, aromatem jednostajnie rozpostartym ponad naszymi głowami – tarczą nieprzeniknioną, ozonosferą niepośledniego gatunku, którą chłonęło wszystkie stworzenie, żywe i martwe, wtapiało się w nią, czy ona w nie (jakaż to w koncu różnica?), kondensowało, by od czasu do czasu wybuchnąć katafalkowym pochodem Księdza Dziekana, rozbrzmiewającym orkiestralnym wołaniem zza światów, przyprószonym słodkawą, piżmową funeralną magią, trupim nasieniem.

- W obliczu śmierci każdy jest równy – mawiała babcia.

Świąteczna kulminacja przypadała zazwyczaj na pierwszy dzień listopada, wszyscy, z najdalszych stron, zbierali się wówczas w babcinej kuchni, wypełnionej po brzegi zapachem bigosu. Pierwszy, od świtu, pełnił zazwyczaj dyżur Przybyłek – odprawiał swój mistyczny rytuał nad dymiącym garem – nasłuchiwał skwierczeń, syków, popiskiwań, bulgotów – wyśpiewywanych koronek do bożego miłosierdzia - dies irae, dies illa, solvet saeclum in favilla – i, zapewne oczekując rychłego Pańskiego przyjścia – czynił sąd nad rozgrzanym do czerwoności metalem.

- Wstawaj, poryrać trzeba, jedzenie się robi – tak oto babcia zaczynała mój dzień, gdy, po całonocnych zmaganiach z czerwoną dłonią na szybie, spragniony snu doczekiwałem świtu. Przez (jak mi się wówczas wydawało) wieki – podmiotem ryrania był dziadek, gdy umarł – ów męski obowiązek przeszedł w prostej linii na mnie. Ryranie – to – inaczej rzecz ujmując – umiejętne szturchanie pogrzebaczką tlących się w piecu węgli, opanowanie tej sztuki wymagało wielu miesięcy ćwiczeń, okupionych licznymi sromotami, kiedy, pomimo pełnego zaangażowania, napięcia wszystkich muskułów i odruchowego zmniejszenia lepkości potu – nie udawało się rozprzestrzenić ognia – ba – zdarzało się że ten gasł – ni stąd ni zowąd – jak gdyby na przekór zapalczywości młodego adepta, z czasem umiejętności rosły, ruchy stawały się bardziej wycyzelowane, delikatniejsze I precyzyjniejsze. Po roku codziennego ryrania – już wiedziałem: należało rozpocząć powoli, rozgarniając niewidzialną zasłonę, delikatnie poszturchując samym czubkiem mosiężnej szpicy, po czym przejść do coraz szybszych I mocniejszych, głębszych pchnięć, coraz to drastyczniejszych, wieńcząc całe dzieło dzikością, ruchowym chaosem, skwierczącym I prychającym parą na wszystkie strony. Wiele lat później – dostrzegłszy podobieństwo ryrania do innych, bardziej praktycznych form ruchu posuwisto – zwrotnego, doceniwszy tą pierwotną szkołę – uznałem moje młodzieńcze doświadczenia za rodzaj diamentowego (bo z węgla) artefaktu, błogosławieństwa, pozwolenia – glejtu pisanego ogniem, iskrami I żarem – będącego w swej istocie niepisanym rozgrzeszeniem moich przyszłych, dorosłych, przyjemnych nieprawości. Quantus tremor est futurus, quando judex est venturus, cuncta stricte discussurus!

Czerwona dłoń. Ileż to razy walczyłem ze snem, zatrzaskując powieki przed złowieszczymi poświatami, odbijanymi przez rzeźbione szklane , oddzielające sypialnię od salonu, drzwi, imaginacjami gorszymi niż myśli o niebycie, karze za grzechy, czy – co najgorsze – ogórkowej na obiad dnia następnego.

Ukazywała się ona na szybie, zazwyczaj tuż po północy, krążyła, sięgała, płonęła blaskiem odbijanego światła, powracającego z wieczornej triumfalnej defilady trójkołowego przybyłkowego potwora, oddalała się, to znów przybliżała, nieuchronna, złowroga, złowieszcza. Zatrzaskiwałem wówczas powieki, ryglowałem, niczym dębowe drzwi, chroniące wszystko to, czego miałem być w przyszłości świadkiem, I

to, czego doświadczałem już wówczas, zaciskałem dłonie, a pięści moje, dziecinne, neurastenicznie burzące gładką taflę kołdry – welurowo walczyły z niewidzialnym przeciwnikiem – oczy I skóra oparzone lękiem- pulsowały, słyszałem dokładnie, tak, słyszałem dźwięki tonów serca, umierałem I wznosiłem modły ku niebu. Strach był najdoskonalszym powodem istnienia Boga. Innego – nawet później - lepszego– nigdy nie odkryłem.

W dzień ten, już od samego rana – schodzili się wszyscy: i stara Szczagielska, trupowatością swą żylastą powłócząc, i córka jej, kilkudniowym fuzlem cuchnąca, i elegancki doktor Stach, skropiony kupionym w PEWEXie dowodem ludzkiej wdzięczności, jeszcze trzeźwy, i Przybyłek, a gdy jego zabrakło – pojawiła się – pani Stefa. Nikt nie wiedział (może poza babcią, która wiedziała wszystko) skąd przyszła. Podobno była jedną z dziadkowych kuzynek, ale – nikt z nas o to nie pytał.

Owal jej rozoranej zmarszczkami twarzy kontrastując z płytko osadzonymi, błękitnymi oczami i paradoksalnie gładką, długą szyją był dla nas jasnym i niepodważalnym dowodem jej staropanieństwa, staropanieństwa – mawiała – z wyboru. Uważając się bowiem za Pańską Oblubienicę, posiadłszy umiejętność rozmawiania z duchami, tkwiła przez większość swojego życia na granicy dwóch światów, nie przejmując się ani zdaniem żywych, ani (jak wspominała) – częstymi bluzgami zaświatowych mieszkańców. Nie była groźna, wręcz przeciwnie – jej łagodny, naznaczony jakimś nieziemskim spokojem uśmiech, lekko wyginający w tęczę kąciki ust, sprawiał, iż wszelkie jej dziwactwa, obrzędy i mamroty uchodziły płazem, ba, nagradzane były dokładką babcinego bigosu lub dodatkowym kawałkiem ciasta. Jedynie w towarzystwie doktora Stacha – zaprzysięgłego ateisty i pijaka - antyklerykała, jej oczy stawały się nieprzejrzane, źrenice zwężały się a na czole pojawiały się krople potu. Ubrana była zwykle na czarno, z czarną, błyszczącą aksamitką wieńczącą jej habitowy strój, permanentna żałoba, dramaturgiczna perfekcja usankcjonowana gładzizną materiału, lecz powaga i dostojność znikały, gdy na stole pojawiała się strawa. Lubiła jeść – tak właściwie to jadła bez przerwy, łapczywie wchłaniała wszystko, co babcia skrzętnie podsuwała, krztusząc się przy tym I prychając, wywalając przy tym oczy do góry, białkami strasząc ewentualnych śmiałków, którzy mieliby ochotę na kolejny kęs, po czym – wracała uśmiechem tęczowo – nieprzebranym łagodnym, aż do kolejnej porcji.

W roku, w którym poczęły z ulic znikać czołgi, a wyciągnięte z żurnali fiszki śpiewały pieśni na cześć jakiegoś mitycznego Bujaka, którego jeszcze nie złapali, na bigosowe świętowanie znów stawili się – i medium okrągłolice, i chirurg z wymienną wątrobą.

- To z kim szanowna pani miewała ostatnio przyjemność? - cyrulik rozpoczął świąteczny taniec.

- Wstydził by się pan, panie doktor – pretensjonalnie dygnęła przed danserem czarownica – wstydziłby się pan takie rzeczy mówić. Duchy są, rozmawiają z nami, tylko my nie potrafimy ich usłyszeć.

- Oczywiście – uśmiechnął się Stach – jedynie pani potrafi, my zaś, maluczkie bożekrówki to ryczymy tylko, muczymy, byczymy, że niech to szlag...

- Niech to szlag, – wtrąciła babcia – znowu pan zaczyna?

- Skądże – odrzekł, wyciągnąwszy z kieszeni marynarki butelkę wódki, postawił na stole. - Czy ktoś się ze mną napije?

Babcia westchnęła, odwróciwszy wzrok.

- Tak – czarownica skinęła głową – ja się z panem napiję.

Babcine westchnienie odbiwszy się echem od ścian, powróciło i wzleciało w stronę szafki z kieliszkami.

- Przyniosę.

- Bo wie pani, pani Stefko – ciągnął chirurg – jestem człowiekiem ciekawym świata, więc pytam. Cały czas pytam. I nie dostaję odpowiedzi, wciąż nie dostaję.

- A cóż takiego chciałby pan wiedzieć? - aksamitem ukoronowana chwyciła w pół flaszkę, wprawnym ruchem odkręciła zakrętkę, napełniła szkło. Kąciki ust podniosły się jeszcze bardziej, oczny zaś lazur – rozbłysnął, na małą chwilę – lecz blask prawie natychmiast wchłonęła nieprzejednana czerń.

Wlawszy w siebie zawartość kielicha, Stach odpowiedział uśmiechową iluminacją, podszytą jednak dziwacznie, złowrogo, inaczej - bezwolnym spazmem w swej istocie będącą, prologiem bitwy na śmierć i życie, dwoma nagimi mieczami wbitymi pomiędzy butelkę a dwa, ledwo co opróżnione naparstki.

Dziwnie niezwykłe było wówczas owo facjatowe Waterloo, grymaśnymi wargami znaczone pole walki, jak flagi, łopoczące na wietrze, proporce dwóch na przeciw siebie stojących armii. Tuba, mirum spargens sonum, per sepulcra regionum... Usztywnione, tęczowe kąciki, bezruchem oznajmiające swoje zwycięstwo – contra lekko drżące, skierowane pogardliwie ku górze, pozbawione litości. Armagedon. Dies irae.

- To o co chciałby zapytać?

- Jest pani tak bardzo pewna swego, więc proszę mi wyjaśnić. Wyobraźmy sobie, że znajduje się pani w pociągu, gdzieś tam, w przedziale, ciepłym, wygodnym, siedzi sobie pani z nogami wywalonymi do góry, pociąg rusza...

Ruszyły. Najsamprzód konnica, galopem, na przełaj, pod kątem prostym – by łamać tą nieprzejednaną linię warg, wyłamać, zdeformować, choć na ułamek sekundy. Iudex ergo cum sedebit, quidquid latet, apparebit: nil inultum remanebit. Żadnych wnyków, wilczych dołów, ścian ognia i zdradzieckich jezior wrzącej smoły. Ni lasu strzał, świstu przelatujących nad łbami koni pocisków. Nic. Cisza.

- … i pani w tym pociągu, pani Stefko. Siedzi pani wygodnie. A jednak, zmienia pani swoje położenie, od punktu A do punktu B. Moje pytanie jest proste. A więc - porusza się pani, czy nie?

Dotarły. Lance skierowane prosto w curvaturę, obie flanki zazgrzytały w śmiertelnym uścisku, a mimo to – nie drgnęły. Morze strzygących ze strachu końskich uszu zafalowało, febra z ust przeniosła się na palce dłoni.

I oto nagle - skrzydła obrońców wyostrzyły się, ścieśniły swe szyki , wystrzeliły tęczą. Nie rozorała ich kawaleryjska szarża. Quid sum miser tunc dicturus? Quem patronum rogaturus? Cum vix iustus sit securus?

- Poruszam się. I nie poruszam. Jednocześnie. Prawda, doktorze?

- Ha! Względem innych układów I owszem, droga pani, ale względem własnego – niekoniecznie. Ogłaszając swoją teorię względności, Einstein zupełnie nieświadomie poddał w wątpliwość sens istnienia Boga.

- Einstein był ateistą – szepnęła babcia.

- Jeśli patrzy pani na świat wyłącznie ze swojej perspektywy, – ciągnął Stach – w innym zaś układzie świat wygląda zupełnie inaczej. I prawa nim rządzące, także. Rozmawia pani z duchami, czy z tym, co wykluwa się w pani mózgowych zakrętach? A święta Teresa była wizjonerką, czy wariatką? Nie ma pani czasem wrażenia, że wszystko da się odnieść ad absurdum? Zupełnie niedawno – płynnym, delikatnym ruchem przedramienia, napełnił kieliszki – tak więc zupełnie niedawno oglądałem program na temat odżywiania, jakiś łysawy pułkownik tłumaczył, że, by żyć zdrowo, nie należy jeść więcej niż pięć kilo mięsa na miesiąc. Rozumie pani? Pięć kilo. A ja, na swoje kartki mogę dostać co najwyżej dwa i pół. I do tego z kością. To tak, jak pani wiara. Pięć tysięcy gramów pobożnych życzeń przy dwóch i pół tysiąca realnych możliwości.

I wydawać by się moglo, że pękną, rozpadną się w puch obronne linie, przełamią się owe sprytnie wyostrzone wały, zastępy atakujących wedrą się wgłąb coraz węższej tęczowej tyraliery, a zduszone jęki miażdżonych końską nawałą obrońców znaczyć poczną pole ich wiecznego spoczynku. Ingemisco, tamquam reus: culpa rubet vultus meus: supplicanti parce, Deus...

- Tyle w tym względności nieistnienia Boga, ile względności jego istnienia – odparła czarownica, poprawiając tasiemkę – koloratkę. - Nicześ nowego pan nie wymyślił. I podejrzewam, że ten wasz Einstein był bardziej wierzący niz wam się wszystkim wydaje. Ha! W końcu to Żyd. Nalejcie mi jeszcze...

- A co to ma do...

- Nic. Albo tyle samo co pańskie pięć kilo...

Dwie armie, w śmiertelnym uścisku splecione, bitwa, która nigdy się nie skończy. Nie będzie porannych modłów za poległych, zbierania rannych, dobijania okaleczonych. Nie będzie triumfalnych pochodów, jeńców, ciągniętych za wozami, marszowym dwuszeregiem oddających hołd zwycięzcom. Oro supplex et acclinis, cor contritum quasi cinis: gere curam mei finis. Wargowe: bezruch i ruch. Względność.

- Wobec śmierci każdy jest równy – przerwała babcia.

- Tak. A największym przekleństwem człowieka jest to, że, zamiast stworzyć bogów na obraz I podobieństwo swoje, wymyślił boga, do którego sam pragnie się upodobnić. Reszta, łącznie z pojęciem grzechu, stanowi jedynie pochodną tego błędu. - Stach wstał, lekko chybocząc, podszedł do drzwi. - Czas na mnie.

- I na mnie - podniosła się czarownica. - Muszę jeszcze na cmentarz...

...

Poranek nazajutrz przyniósł dwie wiadomości. Doktora, znaleziono martwego w szpitalnym kącie, gdzieś nieopodal sali operacyjnej, leżał, zwinięty w kabłąk, sztywny i nieruchomy, podobno pijany w sztok - utopił się we własnych wymiocinach. Pani Stefa zaś – wracając z grobów – weszła pod koła ciężarówki, uderzenie było tak silne, że rzuciło kobiecinę wprost na słup elektryczny i roztrzaskało jej głowę na drobne kawałki.

Huic ergo parce, Deus. Pie Iesu Domine, dona eis requiem.

Chirurga pochowano na cmentarzu komunalnym. Gdzie leży czarna dama – do dziś nie wiem. Chociaż, jak sądzę, babcia wiedziała. Ona wiedziała wszystko.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

dr_brunet, dodano 13.11.2012 08:29

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.